



MIŁOŚĆ
Z KRWI
I KOŚCI



ANNA RYBAKIEWICZ

ANNA RYBAKIEWICZ

MIŁOŚĆ
Z KRWI
I KOŚCI

FILIA

*Stowarzyszeniu „Wizna 1939”, antropolożce Urszuli Okularczyk
oraz wszystkim tym, którzy ludzkie historie ratują od zapomnienia.*

ROZDZIAŁ 1

Białystok, czerwiec 2019 roku

Po raz kolejny spoglądałam na kości ułożone na metalowym stole. To był jeden z trzech szkieletów odnalezionych na terenie dawnego aresztu śledczego. Ustawiłam żółtą plakietkę z numerem jeden tuż obok czaszki i pstryknęłam zdjęcie. Wyjęłam telefon z fartucha i włączyłam muzykę. Nie potrafiłam pracować w ciszy. Gdy w słuchawkach usłyszałam pierwsze słowa *When You Were Young*, wrzuciłam telefon z powrotem do kieszeni. Zabrałam aparat ze stołu i zrobiłam dwa kroki wstecz. Pstryknęłam kolejne dwa zdjęcia z oddali. Musiałam udokumentować każdy nawet najmniejszy szczegół, który mógłby posłużyć w przyszłości do identyfikacji leżącego na stole człowieka. Z przeprowadzonej przeze mnie analizy antropologicznej dowiedziałam się tylko tyle, że szkielet należał do mężczyzny po trzydziestce, mającego około metr osiemdziesiąt wzrostu, zdecydowanie dbającego o swoje uzębienie, który w dzieciństwie złamał prawą rękę (kość zrosła się prawidłowo). Radość z faktu, że udało mi się odnaleźć niemalże wszystkie kości, mieszała

się z żalem, bo wiedziałam, że tym razem nie dowiem się, do kogo należały. Tego jednego kości zdradzić mi nie mogły, a podczas ich wydobywania z ziemi nie znalazłam żadnych osobistych przedmiotów. Mimo wszystko czułam, że było warto, że w jakimś stopniu podarowałam mu namiastkę sprawiedliwości, bo zostanie pochowany w prawdziwym grobie w uświęconej ziemi. Nawet jeżeli na pamiątkowej tablicy zabraknie jego imienia i nazwiska, nawet jeżeli będzie kolejną niezidentyfikowaną ofiarą zbrodni komunistycznych, jego duch zazna w końcu spokoju. Co prawda nie wierzyłam w żadne życie pozagrobowe i sceptycznie podchodziłam do paranormalnych zjawisk, ale czułam się w obowiązku zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby historia każdego znalezionego przeze mnie kości została wyjaśniona, każde zabójstwo odkryte, a zaginięci przed laty ludzie – nareszcie odnalezieni. Jako naukowiec mocno stąpający po ziemi byłam bardziej jak Dana Scully niż Fox Mulder, a mimo to zdarzały się sytuacje, na które nie potrafiłam znaleźć racjonalnego wytłumaczenia. Czasem, gdy pracowałam nad kośćmi, czułam coś na kształt *déjà vu*. Doznawałam wrażenia, że działo się wokół mnie coś nieuchwytnego, coś na pograniczu jawy i snu.

Tak samo było teraz. Dosłownie jakby ktoś za mną stał i przyglądał się mojej pracy. Niekontrolowany dreszcz przeszedł przez moje ciało. Spojrzałam w wyświetlacz aparatu i wzdrygnęłam się, gdy zobaczyłam

tam odbicie męskiej sylwetki. Zanim zdążyłam jej się przyjrzeć, usłyszałam dobrze znany mi głos, który przebijął się przez dźwięki muzyki.

– Przestraszyłem cię?

Szybkim ruchem wyrwałam z uszu słuchawki, które teraz zwisały bezwładnie u mojej szyi.

– Przemek! – krzyknęłam. – Tak! Tyle razy prosiłam cię, żebyś się tak nie skradał! Myślałam, że...

– Że co?

– Myślałam, że kogoś zobaczyłam... kogoś, kogo nie powinno tu być. Zresztą nieważne – zbyłam go. – Po prostu muszę zrobić sobie przerwę.

Nie mogłam mu wyznać, że byłam pewna, że stoi za mną mężczyzna, którego kości właśnie badałam. Nie... To nie miałoby sensu. Potrząsnęłam głową, pozbywając się tej głupiej myśli. Chociaż zdawało mi się, że postać, którą zobaczyłam, miała na sobie podartą koszulę, a nie fartuch, ale przecież to niemożliwe...

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – zapytałam po chwili.

– Pomyślałem, że jesteś głodna i... wyskoczmy razem na miasto coś zjeść?

– Teraz?

– Teraz, później. Ja się dostosuję – odpowiedział, poprawiając okulary. Robił tak za każdym razem, gdy się denerwował. Wiedziałam to, bo miałam podobny nawyk.

– Teraz nie dam rady. Jak widzisz, mam randkę z tym oto cichym džentelmenem – zażartowałam, wskazując na stół, na którym leżał ułożony szkielet.

– Czuję się urażony, skoro wybierasz jego zamiast mnie. W końcu z naszej dwójki to ja mogę zaproponować ci pomocną dłoń i bijące serce – oznajmił z udawaną urazą.

– Przemku, chyba nie powiesz mi, że jesteś zazdrosny o Stefana.

– Stefana?

– Tak, każdy NN w moich myślach jest Stefanem, dopóki nie odkryję jego prawdziwej tożsamości.

– Nie jestem zazdrosny. – Westchnął. – Tylko mogłabyś czasem wybrać mnie zamiast pracy.

– Wiesz, że moja umowa wkrótce się kończy. Muszę się wykazać, żeby szef mnie zostawił.

– Czyli zjesz ze mną obiad, dopiero jak dostaniesz etat? – zapytał z obawą w głosie.

– Nie. – Zaśmiałam się. – Możemy zjeść jutro. Dziś muszę skończyć to, co zaczęłam. – Wskazałam ruchem głowy na stół za mną.

– Trzymam cię za słowo, Urszulo. – Jak zawsze zwrócił się do mnie pełnym imieniem. I chociaż go nie lubiłam, to nigdy mu tego nie wyznałam.

– Dobrze, Przemysławie – odpowiedziałam tym samym poważnym tonem.

Po chwili zostałam sama. No, może nie sama, bo ze Stefanem.

Nie kłamałam, mówiąc, że muszę się wykazać. Jeśli chciałam dostać umowę na stałe, musiałam wykonać jak najwięcej badań, przeprowadzić jak najwięcej analiz. Dlatego po zakończonej pracy ze Stefanem chciałam czym prędzej zabrać się za odkryty niedawno nad Narwią pochówek antywampiryczny z siedemnastego wieku, w którym prawdopodobnie spoczywała kobieta uznana za czarownicę.

Chciałam zostać w instytucie i kontynuować swoje badania. Chciałam zostać w tym mieście na dłużej. Mieszkałam w Białymstoku już dobrych kilka lat. Można by rzec, że ułożyłam sobie tu życie. Miałam też blisko do babci, którą mogłam odwiedzać praktycznie codziennie. Nie wyobrażałam sobie zaczynania wszystkiego od nowa gdzieś indziej. Szukania nowej pracy dla siebie i nowego domu opieki dla niej. Zresztą w moim zawodzie stała posada była czymś wyjątkowym. Antropolodzy zazwyczaj pracowali z wolnej ręki, jechali tam, gdzie była potrzeba, często podróżowali po całej Polsce. A ja musiałam być tu, blisko babci. Może gdybym została lekarzem, jak chciała tego moja matka, wszystko byłoby prostsze, ale zostałam, kim zostałam i wcale tego nie żałowałam.

Po skończonej maturze złożyłam papiery na dwa kierunki: medycynę (aby zaimponować rodzicom, których praktycznie nie znałam) i biologię, która szczerze mnie interesowała. I co dziwne, z ulgą przyjąłam wiadomość,

że nie dostałam się na ten pierwszy. Powoli zbliżałam się do tego, czym pragnęłam zajmować się w życiu, o czym skrycie marzyłam. Chociaż z perspektywy czasu nie wiem, czy kiedykolwiek miałam jakiś wybór w kwestii mojej przyszłości, skoro za babkę miałam Barbarę Bagińską, kobietę, która przez całe swoje dorosłe życie przekopywała kolejne połacie lasu w poszukiwaniu zakopanych tam ciał. Może podświadomie ciągnęło mnie do antropologii, bo całe dzieciństwo spędziłam w lesie z łopatką w ręku, towarzysząc babci. Dla jednej z nas była to tylko zabawa, ale dla drugiej sens całego życia. Pewnie dlatego moja matka, a jej jedyna córka, tego nie wytrzymała. Uciekła z moim ojcem do Ameryki po nowe, lepsze życie i chyba je tam znalazła. Zostawiła tym samym mnie, swoją sześciolletnią córkę Urszulę ze swoją matką Barbarą, która nie potrafiła okazać uczucia ani jej, ani mnie. Początkowo nie mogłam jej tego wybaczyć, teraz zaczynałam ją rozumieć. Życie w naszej rodzinie wiązało się z ogromną presją, z byciem wyklętym. Z tego powodu moja matka nigdy nie chciała mieć dzieci. Urodziła mnie późno i podejrzewałam, że nie było to zaplanowane, zważywszy na to, że nigdy nie czułam się przez nią kochana. Problem z wyrażaniem własnych emocji przeszedł niestety z babki na moją matkę i co gorsza, obawiałam się, że także na mnie.

Ponownie włożyłam słuchawki do uszu i odruchowo wygładziłam poły mojego fartucha w kolorowe czaszki.

Miałam bzika na punkcie ubrań i gadżetów z kośćmi. Wszyscy moi znajomi o tym wiedzieli i na każdą okazję dostawałam jakiś nowy brelok albo bluzę z takim właśnie motywem.

Pstryknęłam kolejne zdjęcie, wracając tym samym do rzeczywistości. Nagle poczułam wibracje, które rozchodziły się w kieszeni fartucha. Odłożyłam aparat na biurko. Gdy zerknęłam na wyświetlacz komórki, moje serce zabiło mocniej, bo pojawiła się w nim... nadzieja. Czułam ją za każdym razem, gdy dzwonił. Choć od ostatniego telefonu minął już ponad rok, to ja wciąż liczyłam na cud. Na ten jeden szczęśliwy traf. Póki jeszcze żyła ich córka...

– Halo, Marcin?

– Chyba ich mamy! – powiedział, zadowolony, nawet się ze mną nie witając, a ja z wrażenia oparłam się ręką o blat stołu i przymknęłam oczy.

To, co poczułam, było nie do opisanania. Mógł mnie zrozumieć tylko Howard Carter, który w 1922 roku odkrył grobowiec Tutanchamona. Choć odkrycie Marcina najpewniej nie zmieni losów świata i nie wzbudzi międzynarodowej sensacji, to moja rodzina ze ściśniętym sercem czekała na ten dzień siedemdziesiąt sześć lat.

– Jesteś pewien? – zapytałam drżącym głosem. – Ten las jest pełen ofiar. Już kiedyś się pomyliliśmy.

– Mamy ich, Ulka! Tym razem na sto procent. To oni! Znaleźliśmy ich!

Trzymałam telefon przy uchu, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– Kiedy możesz być? – zapytał po chwili, zapewne zdając sobie sprawę z mojego stanu.

– Jutro z samego rana. – Zmusiłam się do odpowiedzi, chociaż gardło miałam tak wysuszone, jakbym nie piła od kilku dni.

– To zbieram ekipę.

– Dziękuję... – wyszeptałam.

Ścisnęłam mocniej telefon i zaczęłam rozglądać się po swoim gabinecie. Musiałam szybko dokończyć pracę, spakować sprzęt i przygotować się do drogi. W głowie kłębiły mi się tysiące myśli. Stałam na drżących nogach i nie wiedziałam, od czego powinnam zacząć. Ogarnął mnie stres podobny do tego, który czułam, gdy po raz pierwszy miałam jechać na eksplorację wykopu z kośćmi. A przecież robiłam to już od blisko sześciu lat i byłam w tym naprawdę niezła. Tylko że tym razem miało być inaczej. Tym razem pod warstwą piachu miałam odnaleźć swoich przodków, swoją rodzinę.

Przez myśl przeszło mi, żeby zadzwonić do babci. Wykrzyzczyć jej dobrą nowinę. Potwierdzić to, w co wierzyła przez całe życie – że nigdy jej nie zostawili, że po prostu wrócić już do niej nie mogli. Odeгнаłam jednak tę myśl. Bo dopóki osobiście nie stwierdzę, że to ten grób, którego tak zawzięcie od tylu lat szukała, dopóki

nie dopasuję każdej kości, dopóty nic jej nie wyjawię. Nie mogłam narobić jej niepotrzebnej nadziei z obawy, że kolejna pomyłka ją załamie. Musiałam jak najszybciej dowiedzieć się, kto tym razem rzeczywiście spoczywa na dnie mogiły w Lesie Śmierci.

ROZDZIAŁ 2

Przestrzele, sierpień 1939 r.

– Baśka!

Otworzyłam zaspane oczy. Nie byłam pewna, czy ktoś mnie wołał, czy wciąż śniłam.

– Baśka, pomocy!

Teraz już nie miałam wątpliwości. Wskoczyłam z łóżka, jakby sam diabeł mnie gonił. Otworzyłam drzwi wychodzące z mojego pokoju prosto na ogród i wybiegłam tak, jak stałam, a raczej jak spałam, w białej koszuli nocnej sięgającej łydek.

– Romek! – krzyknęłam co sił w płucach. – Gdzie jesteś?

– Tutaj! Baśka, szybko!

Biegłam w jego stronę, czując pod nogami rosę. Nie miałam bladego pojęcia, która mogła być godzina, ale w oddali wciąż unosiła się nad polami poranna mgła. Nasi ojcowie jeszcze nie wstali do obrządku, więc musiało ledwo co świtać.

– Romek, przysięgam, że jeżeli to twój kolejny zwa-
riowany pomysł, to uduszę cię gołymi rękami!

Ten chłopak miał wprost ułańską fantazję. Ostatnim razem wymyślił dodatkowe siedzisko w rowerze, a jak wymyślił, tak zrobił. Na moje nieszczęście byłam tą, która miała je wypróbować po raz pierwszy i – jak się potem okazało – ostatni. Siodełko się oderwało, ja poleciałam w dół, prosto pod koła roweru. Od szutrowej drogi poobdzierałam sobie skórę na nogach i nabiłam dwa siniaki. Romek chciał nieść mnie na rękach do domu, ale – widząc moją groźną minę – odpuścił i siedł za mną w bezpiecznej odległości, prowadząc sfatygowany rower. Nie odzywałam się do niego wtedy przez dwa tygodnie, aż zszedł ostatni ślad z moich nóg. Jeszcze wcześniej wymyślił sposób na szybsze zrywanie jabłek w sadzie. Włożył mi do rąk jakieś ustrojstwo, które przypominało grabie z lejkiem na końcu, i kazał zrywać papierówki. Oczywiście nie potrafiłam mu odmówić, chociaż głos w mojej głowie podpowiadał mi, że powinnam. Stałam pod drzewem i zrobiłam, jak kazał. Udało mi się pochwycić jeden owoc, ale nie chciał spaść. W końcu szarpnęłam i jabłko spadło. Niestety nie do lejka, a wprost na moją głowę. Chodziłam z guzem na czole przez tydzień i dokładnie przez tyle samo czasu nie odzywałam się do mojego sąsiada, a zarazem, najlepszego przyjaciela.

Wbiegłam na podwórko Matejkowskich. Odkąd sięgałam pamięcią, nie stał tu żaden płot. Nasze domy stały na kolonii, z dala od wsi, co tylko wzmocniło na-

sze sąsiedzkie więzi, bo w końcu jak człowiek w potrzebie, to tylko do jednego sąsiada mógł zwrócić się po pomoc. Więc pomagaliśmy sobie we wszystkim, czy to w pracy na polu, czy w obejściu. Co nasze – to i ich, co ich – to i nasze. Tej jednej zasady trzymaliśmy się całe życie. Nawet ślub nasi rodzice wzięli tego samego dnia. Nic dziwnego, że potem dwie sąsiadki były w ciąży w tym samym czasie. A radość z tego faktu była podwójna. Najpierw urodziłam się ja, Barbara Bagińska, a następnego dnia na świat przyszedł Romek, a raczej Romuald Matejkowski. Nasi rodzice od zawsze śmiali się, że on tak szybko z brzucha za mną wyskoczył, żeby mnie pilnować. Ale moim zdaniem to ja pilnowałam jego i urodziłam się wcześniej właśnie po to, żeby od początku mieć na niego oko. W każdym razie odkąd sięgam pamięcią, byliśmy razem. Dosłownie jakby los zdecydował, aby nas połączyć. „Basia i Romek. Romek i Basia. Jedno bez drugiego żyć nie może”, tak śmiali się wszyscy wokół.

– Łap je, Basiu! – Usłyszałam, gdy tylko minęłam wielki orzech włoski, który rósł na granicy. Spojrzałam na Romka, który biegał wokół siebie i co rusz kuczał. Wyglądało to przezabawnie. I pewnie pomyślałabym, że chłopak zwariował, gdybym nie dostrzegła białych uszu wystających ponad zieloną trawę.

– Uciekły?! – krzyknęłam, przerażona. – Jak to możliwe? Przecież wczoraj je zamknęłam po karmieniu!

Doskoczyłam do Romka, uważnie patrząc pod nogi. Wszędzie wokół nas kicały małe, białe, puchate króliczki.

– Wpuściłem je na wieczór do nowej klatki. Musiały się z niej jakoś wydostać.

– Jaka nowa klatka? – Podniosłam jednego malca za uszy i delikatnie położyłam go sobie na rękę.

– Miałem ci dziś pokazać. Dużo większa i ma specjalny pojemnik do karmienia, taki, z którego samo wysypuje się ziarno, gdy już go zabraknie.

– Romualdzie Matejkowski! – Uniosłam głos i użyłam jego pełnego imienia (którego nie znosił, więc sięgałam po nie dopiero w ostateczności). – Coś ty znowu wymyślił?! Jeśli któremuś królikowi coś się stanie, to roztrzaskam tę klatkę na twojej głowie!

– Basiu, po pierwsze: nie dasz rady, bo jest solidna, a po drugie: nic im się nie stanie. Trzy już mam. Ty masz czwartego. Zostały jeszcze dwa.

Wrzuciłam króliczka do klatki. Potem zaczęłam się jej przyglądać. Rzeczywiście wyglądała imponująco. Króliki miały w niej dużo więcej miejsca niż w poprzedniej. Zastanawiałam się, skąd on bierze te pomysły.

– I jak ci się podoba? – Usłyszałam za sobą głos Romka. Odwróciłam się do niego, próbując nie okazywać zachwyty. Jednak młody sąsiad znał mnie aż za dobrze. Od razu uśmiechnął się triumfalnie, pokazując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów. – Wiedziałem,

W 1942 roku dwudziestoletnia Basia postanawia dołączyć do ukrywających się w lesie partyzantów. Wśród nich jest Romek – zakochany w dziewczynie sąsiad oraz Leszek – ich wspólny przyjaciel. Życie tej trójki młodych ludzi nieoczekiwanie się komplikuje. Jednak nie za sprawą wojny, a na skutek uczucia, które rodzi się między Basią a Leszkiem.

W 2019 roku antropolog Ula otrzymuje telefon, że w lesie odnaleziono szczątki należące do jej pradziadków, którzy wraz z sąsiadami zostali rozstrzelani przez Niemców w 1943 roku. Żeby wydobyć kości z ziemi, Ula powraca w rodzinne strony, które opuściła wiele lat wcześniej. Na nowo musi stawić czoła nie tylko starszemu sąsiadowi, który obwinia jej babcię Barbarę o tragedię sprzed lat, ale także jego wnukowi – Piotrkowi, który kiedyś złamał jej serce, a teraz oferuje swoją pomoc przy wykopaliskach. Podczas pracy z kośćmi Ula będzie świadkiem kilku niecodziennych zjawisk, dla których spróbuje znaleźć racjonalne wytłumaczenie.

Czy wydarzenia w życiu Uli są zwykłym zbiegiem okoliczności, czy może działaniem szeptuchy? Czy odnalezione po wielu latach kości mają moc zjednoczenia dwóch zwaśnionych rodzin?

CZY MIŁOŚĆ JEST SILNIEJSZA OD NIENAWIŚCI?



wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8357-768-5



9 788383 577685